

Dziady na Krakowskim

Katastrofa odsłoniła nędzę niepoważnego państwa - czytamy we wstępie do najnowszego numeru Teologii Politycznej



Katastrofa odsłoniła nędzę niepoważnego państwa

Przez kilka miesięcy po tragedii smoleńskiej na Krakowskim Przedmieściu oglądaliśmy niepokojąco znajome sceny polskiego dramatu (te narodowe, zaduszne z cmentarnym krzyżem w centrum i te nie-boskie z lokajstwem Pankracego w roli głównej). W bezpośrednim kontekście katastrofy – niestety nie na deskach sceny – zderzyły się dwa przeciwstawne żywioły polskiej historii – siły powagi i niepowagi, bytu i niebytu, roszczenia do formy i bezkształtnej miazgi.

Każdy, kto po katastrofie przychodził na Krakowskie pamiętał o zniczach. Codziennie na chodnikach i jezdni pojawiały się nowe i naprawdę trudno było uciec od skojarzeń z Dziadami – wyglądało to tak, jakby spod pękniętej skorupy wylewały się świeże języki lawy. Bez reżyserów, spin doktorów, bez krytycznych artystów, bez patosu, bez szczególnie poetycznych intencji, tak trochę bezwiednie – inscenizowano metaforę. Nic nie pomagało, ani barierki, ani gaszenie, ani nawet miejskie służby od wywożenia niewypalonych lampek. Lawa i krzyż. Po raz trzeci za naszej pamięci światła rozlały się po ulicach. Tak było – na wielką skalę – w czasie żałoby po śmierci Jana Pawła II, tak było po śmierci panny S., kiedy krzyże z kwiatów układały na ulicach starsze panie, których wtedy jeszcze nikt nie nazywał moherami, i teraz znowu – zresztą w tych samych, jak widać bardzo tektonicznych okolicach miasta. Kiedy wylewa się lawa, to znaczy, że wspólnota polityczna wyrwała się z drzemki i że już nie ma żartów, bo znów myślimy o tym, co podstawowe: o wolności, solidarności, wierze, słowem – o tym, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy (O file Faidre, poi de kai pothen?). Teraz myśleliśmy o państwie – jasne, o różnych rzeczach, ale czuło się, że właśnie to była myśl główna: myśleliśmy o tym, że zamieniono je w coś marnego, obrzydliwego, że odebrano mu powagę, że zanim je na dobre zbudowano, już je popsuto.

Katastrofa odsłoniła nędzę niepoważnego państwa i przypomniała (na przekór wszystkim urzędowym optymistom) o naszej dziwnej, niepewnej kondycji narodu nieustannie balansującego na granicy bytu i niebytu – narodu, którego może nie być. Kiedy mówimy, że może „nie być”, to niestety nie w tym sensie, że jest on – tak jak wszystko na ziemi – przygodny, tylko w tym, że naród ten nie jest mieszkańcem państwa mającego siłę, pamięć, powagę i bezwładność – cechy, które obywatelom wielu europejskich krajów pozwalają (naiwnie) wierzyć, że są czymś wiecznym. Dlatego oni z wielką pewnością siebie śpiewają

uber alles albo jour de gloire, a my, że „jeszcze nie zginęła” z naciskiem na „jeszcze” (co zresztą ostatnio wielu z nas wydawało się już bardzo anachroniczne). Katastrofa wyrwała nas z tej iluzji, postawiła w obliczu starej prawdy, że Polska to byt, który co pokolenie utrzymywany jest przy życiu przez garstkę tych, co powtarzają „póki my żyjemy”, w obliczu faktów, że właśnie stu spośród nich zginęło i że – wbrew zapewnieniom błaznów i hipnotyzerów – naszego pokolenia nie ominie pytanie, czy należymy do tego „my” i czy damy radę. Szybka i brutalna lekcja przypominająca, że w naszej kondycji jest to pytanie obowiązkowe, nie omija nikogo – bo tylko od nas zależy, czy będzie jakiś ciąg dalszy. Czy można się dziwić tym myślom? Katyń, Smoleńsk, śmierć i znowu jakiś parszywy lasek, obce mundury, poniżająca bezradność, najgorsze przeczucia, tajemnica.

Razem z Dariuszem Gawinem mieliśmy we trzech zaszczyt trzymać wartę przy trumnach Marii i Lecha Kaczyńskich. Przez wiele dni przechodziła przed nimi rzeka ludzi. Dla tych, którzy to widzieli dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości. To nie byli pojedynczy ludzie, to nie było tak zwane społeczeństwo, tam przyszedł naród. Oczywiście ludzie przyszli z różnych powodów: jedni z wdzięczności wobec Lecha Kaczyńskiego, inni ze wstydu, że dali się wciągnąć w szambo politycznego PR-u jego wrogów, ale – i to drugi pewnik – przyszli pokłonić się przed Majestatem Rzeczypospolitej. Dlaczego? Bo przerazili się tym, co odsłoniła katastrofa. Stan nieważkości. Lekkość bytu. Gra bez konsekwencji i odpowiedzialności. Najpierw niezwykle śmieszna gierka z samolotem, który się nie należy. Potem zabawna rozgrywka z rosyjskim ambasadorem w roli rozgrywającego. Wcześniej tysiące wesołych zaniedbań: nieobecność BOR-u, niejasność co do statusu lotu, szkoleń pilotów etc. Zobaczyliśmy brak państwa i brak powagi – widząc zarazem, że właśnie rola strażnika powagi i

podmiotowości czyniła Lecha Kaczyńskiego wrogiem publicznym numer jeden – śmiesznym gościem, kartoflem, bliźniakiem – po którym bez żadnych skrępowań jeździli publicyści z dzienników, telewizji i rozmaitych rozgłośni.

Kolejne dni pogłębiały tę trwogę. Spektakl nieudolności, niekompetencji i lęklivosti, zdumiewający nawet dla osób niemających specjalnych złudzeń co do kwalifikacji i podmiotowości rządu, rozwiewał resztki wątpliwości. Patrzyliśmy jak oddano śledztwo, oglądaliśmy jak niszczone wrak, wybijano szyby, systematycznie niszczone dowody, czytaliśmy o szczątkach znajdowanych po tygodniach w błocie i oniemiało słuchaliśmy wyjaśnień, jak to doskonale i zupełnie w porządku, że nie mamy czarnych skrzynek, dostępu do miejsca katastrofy i że to naprawdę cudowne, iż śledztwo w sprawie śmierci Prezydenta RP prowadzą ludzie Putina (znani ze swej wiarygodności i fachowości), i że z bezgranicznej wdzięczności za to wszystko powinniśmy 9 maja zapalić lamkę czerwonoarmistom, którzy przed laty tak nas wszystkich pięknie „oswobodzili”. Czytaliśmy kolegów (z lewa i niestety z prawa), którzy od razu wiedzieli wszystko – o tym, co, kiedy i komu nakazał prezydent, co zrobili nasi piloci, kto był pijany jak Polak, kto naciskał na kogo i kto był obecny w kabinie, oraz że na pewno, bez żadnych wątpliwości, bez żadnego śledztwa – bo to po prostu wiadomo i sprawdzać nie trzeba – przyczyną katastrofy nie mógł być zamach.

I tak po kilku latach politycznego cyrku stało się oślepiająco jasne, że polityka to sprawa poważna. Sprawa życia i śmierci. Ministrowie, generałowie, parlamentarzyści, urzędnicy to nie celebryci, debata publiczna to nie konkurs dla paszkwilantów, a historia nie skończyła się wraz z przystąpieniem do Unii i NATO, ale pędzi nadal jak oszalała. To nie komedia! To nie kabaret! To nie happening!

I wtedy przyszedł kontratak.

Powaga była nie do zniesienia. Dla kogo? Przede wszystkim dla tych, którzy w tym miejscu Europy nie chcą poważnego państwa. Ale przecież nie tylko dla wielkich graczy – również dla różnych pajaców, którzy bali się stracić chleb (lub właśnie na niego pracowali), albo tych, którym tak brzydko popsuto dyskurs o triumfie postpolityki. Wreszcie, oczywiście, również dla tych, którzy chcieli po prostu zapomnieć o tym, co niedawno robili, pisali lub mówili. Ludzka rzecz. Bo powaga to kłopot – wielki kłopot! Zainteresowanych było dostatecznie wielu, żeby zgodzić się na to, co stało się na Krakowskim wokół krzyża – na erupcję bandyckiego nihilizmu, bluźnierstwo, profanację, które każda ze stron politycznego sporu mogła przerwać. Niestety nie przerwał nikt; ani marszałek, ani premier, ani szef opozycji. Od tego zaniechania zaczęło się to, co najgorsze. Sceny jakby żywcem wyjęte z obozu Pankracego rozlewały się po Krakowskim Przedmieściu, a w nich całkiem nowi „bohaterowie”.

Symbolami tego, co się działo na obu poziomach stali się Zbigniew S. i Dominik Taras. Jeden bez publicity, chciałoby się powiedzieć: dyskretny, za to ze znaczącym dorobkiem. Przypomnijmy: Zbigniew S. pseudonim Niemiec, herszt grupy przestępczej szantażującej Krzysztofa Piesiewicza, z zaliczonym dziewięcioletnim wyrokiem za napady z bronią w ręku na agencje towarzyskie i gwałt. Przychodził codziennie z kolegami i transparentem żarliwie broniącym krzyża przed polityzacją (sic!), sporo rozmawiał z rozbawioną młodzieżą, która szarpała i poniżała modlących się wokół krzyża, żartował, pozował do zdjęć. Widać było, że czuje się bezpiecznie. Polskie media (sławni dziennikarze śledczy!) nie zainteresowały się jego motywami ani osobą (z chlubnym wyjątkiem „Rzeczpospolitej” i „Gazety Polskiej”).

Widocznie było oczywiste, że pan Zbigniew przychodził wiedziony szacunkiem dla krzyża i zgrozą przed jego profanacją (na szczęście wszyscy rozsądni ludzie w Polsce gardzą spiskową teorią – w której kryminaliści i służby mogą ze sobą mieć coś wspólnego!). Drugim bohaterem – tym razem bardzo eksponowanym – był może niezbyt elokwentny, ale za to podobno bardzo interesujący Dominik Taras, którego media ogłosiły symbolem młodych i inteligentnych. Nie wiemy, czy pomysł krzyża z puszek po piwie Lech należał do niego, czy też może narodził się w głowach bystrzejszych specjalistów, ale z pewnością dobrze trafił w oczekiwania jego salonowych wielbicieli. A potem już poszło.

Każdej nocy na Krakowskim Przedmieściu można było oglądać zdumiewający spektakl brutalności i chamstwa, które grupki składające się z najróżniejszych typów młodzieży, tej z warszawskiego półświatka, ale i tej ze „wspaniałego świata”, odgrywały wokół modlących się wokół krzyża. Zadziwiające, że właśnie wtedy, w środku nocy, znikali z Krakowskiego wszelcy stróże prawa, znikła straż miejska i policja. Sprawiało to wrażenie, jakby chciano w ten sposób oddać całkiem wolną przestrzeń egzorcystom niepowagi, jakby dawano im znak: macie, dzieciaki, wolną rękę, hulaj dusza, piekła nie ma! Śmielej i więcej! Miejsce jeszcze przed chwilą arcy polityczne, miejsce, gdzie na zwołanie przybyła wspólnota polityczna, zmieniło się nie do poznania. Naród zastąpiła hołota – jakby wrócił żywcem wyjęty z opisów Hobbesa stan natury.

Wszystkich tych obrazów nie da się już wyrzucić z pamięci. Pytanie brzmi, co się wtedy stało? Odwieczny konflikt między powagą i niepowagą? Afirmacją i negacją? Bytem a niebytem? Formą i miazgą? Jeśli tak, to dlaczego powaga przegrała? Dlaczego tak łatwo uciekła z

forum do domów, dlaczego znów uwierzyła, że nie ma dla niej miejsca? Kiedy w pierwszych dniach po katastrofie oglądaliśmy niezmierzone tłumy ludzi przyjeżdżających z różnych stron Polski, wraz z wielu innymi sądziliśmy, że z tego zgromadzenia musi wyniknąć jakieś dobro, jakaś zmiana, że to będzie mocny fundament pod inną przyszłość, w której to, co się stało nigdy więcej nie będzie miało prawa się powtórzyć. Sądziliśmy, że lekcja została wzięta. Kiedy Jan Rokita powiedział, że ludzie pokroju nihilisty z Biłgoraja raz na zawsze znikną z naszego publicznego życia, nikt nie wątpił, że inaczej być nie może. Jak bardzo się pomylił! Wystarczyło kilka tygodni, by niepowaga święciła triumfy, wystarczyło półtora roku, aby nihilista rozsiadł się w sejmie.

Stało się to, co w polskich warunkach dzieje się wciąż od nowa. Nawet najbardziej gwałtowny wybuch politycznej energii, najbardziej bezpośrednio i żywiołowe uaktualnienie się Rzeczypospolitej nie znajduje silnej politycznej formy i rozprasza się, przechodząc w najróżniejsze postaci „wewnętrznych stanów świadomości”. Rządzący nie byli oczywiście zainteresowani utrwalaniem wyrażonej wówczas jedności, definiując ją jako wymierzoną przeciwko sobie, bojąc się, że przerodzi się ona w rozliczenie z dotychczasowej polityki, a przede wszystkim z okoliczności, które umożliwiły katastrofę. Pewną rolę odegrała także po prostu małostkowość wobec tragicznie zmarłego prezydenta, pewne tchórzostwo i oportunistyczny brak podmiotowości, pewna wreszcie niezdolność opuszczenia krainy PR-u. Jednak także opozycja, zamiast budować na jedności wspólnego doświadczenia fundament, zajęła się raczej pośpiesznym kleczeniem barykad. Skutkiem tego zamiast fundamentu zbudowała „ściankę działową”, przepierzenie, które ma wyznaczyć nową linię smoleńskiego podziału. Ale czy na pewno nową? Czy w ten sposób nie utrwalono tylko, w jakiś zmieniony doraźnie sposób, tego, co stanowi istotę polskiej rzeczywistości od dawna? A jeśli nadal pozostajemy zamknięci

